

MAŁGORZATA CIECIORA (Warszawa)

Świątynie wiedzy w dobie transformacji gospodarczej

(Analiza obecnego systemu finansowania działalności dydaktycznej uczelni w Polsce)

W przeciągu kilku ostatnich miesięcy problemy związane z finansowaniem i organizacją systemu finansowania szkolnictwa wyższego w Polsce niejednokrotnie trafiały na czołówki największych krajowych gazet i programów informacyjnych. Głośny był np. przypadek protestu podjętego przez studentów warszawskiej SGH przeciwko planom zwiększenia limitu płatnych miejsc na studiach wieczorowych czy działania władz Uniwersytetu Jagiellońskiego zmierzające do ograniczenia podejmowania przez wykładowców dodatkowej pracy na innych uczelniach. Tego typu sygnały wskazują na wadliwe funkcjonowanie obecnego systemu, a większość rozwiązań proponowanych przy okazji powstawania wspomnianych wyżej konfliktów to rozwiązania powierzchowne, które mogą zaowocować co najwyżej chwilową (a często wręcz złudną) poprawą sytuacji.

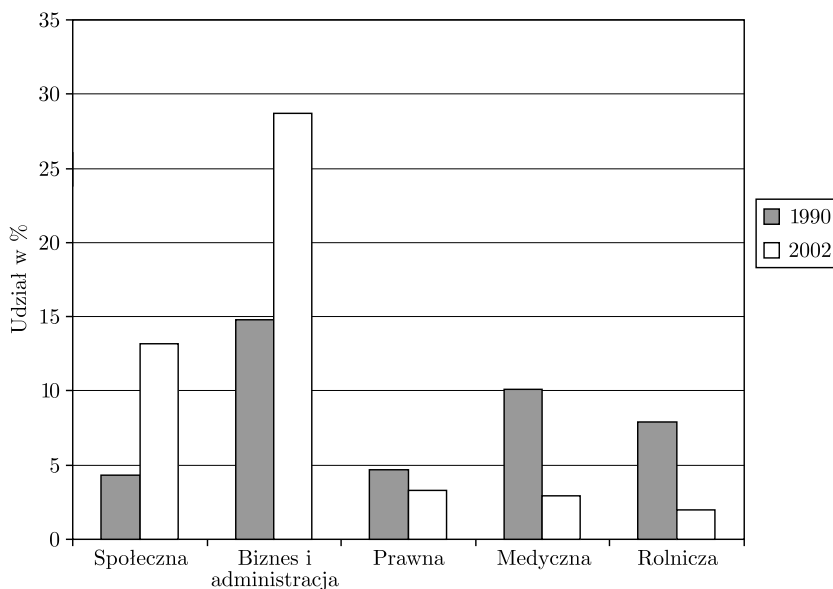
Polski system finansowania szkolnictwa wyższego jest bowiem wadliwie skonstruowany, jest pewnego rodzaju ekonomiczną skamieliną po poprzednim ustroju gospodarczym, rozsadaną od wewnątrz przez działanie sił rynkowych. Niechęć zaś do dokonania w nim gruntownych zmian wiąże się z faktem, iż w zbiorowej świadomości pokutują następujące dwa poglądy:

- szkolnictwo wyższe nie jest częścią gospodarczej bazy, a intelektualno-kulturowej nadbudowy; uczelnia to nie przedsiębiorstwo produkcyjne, lecz „świątynia wiedzy”, krzewiąca, na kształt teatru czy muzeum, intelektualną rozrywkę. Zatrudnieni w niej wykładowcy to pasjonaci, motywowani do pracy „miłością do wiedzy”, czy wręcz powołaniem;
- w ramach realizowania swojej funkcji redystrybucyjnej państwo powinno zapewnić dostęp do bezpłatnego wykształcenia na poziomie wyższym młodzieży z uboższych rodzin poprzez finansowanie działalności państwowych uczelni wyższych; zjawisko dokonywania opłat za studia na uczelniach prywatnych czy za niestacjonarne studia na uczel-

niach państwowych jest marginalne i dotyczy głównie osób z bogatych rodzin.

***Homo oeconomicus* na sali wykładowej.** Niestety, oba powyższe założenia są błędne. Stawiają środowisko uczelniane poza głównym nurtem gospodarki rynkowej, jak gdyby było ono dziwnym mikrokosmosem, w którym prawo ciężenia działa do góry. Tymczasem obserwacja procesów zachodzących w polskim szkolnictwie wyższym po roku 1989 pokazuje, że prawa rynku miały i mają ogromny wpływ na działalność uczelni. Oto kilka dowodów:

- w czasach obecnej gospodarki, opartej głównie na stosowaniu nowoczesnych technologii w procesach produkcyjnych i zatrudnianiu wysoko kwalifikowanego kapitału ludzkiego odpowiednie (= gwarantujące dobrze płatną pracę) wykształcenie, czyli produkt „wytwarzany” na uczelniach, stało się cennym i pożądanym towarem. Po roku 1989 liczba studentów pragnących studiować kierunki otwierające drogę do wysokich zarobków, czyli przede wszystkim wszelkiego rodzaju kierunki ekonomiczne (biznes, administracja, finanse, marketing, zarządzanie itp.) znacząco wzrosła w porównaniu z liczbą studentów większości innych kierunków, jak to obrazuje wykres 1.



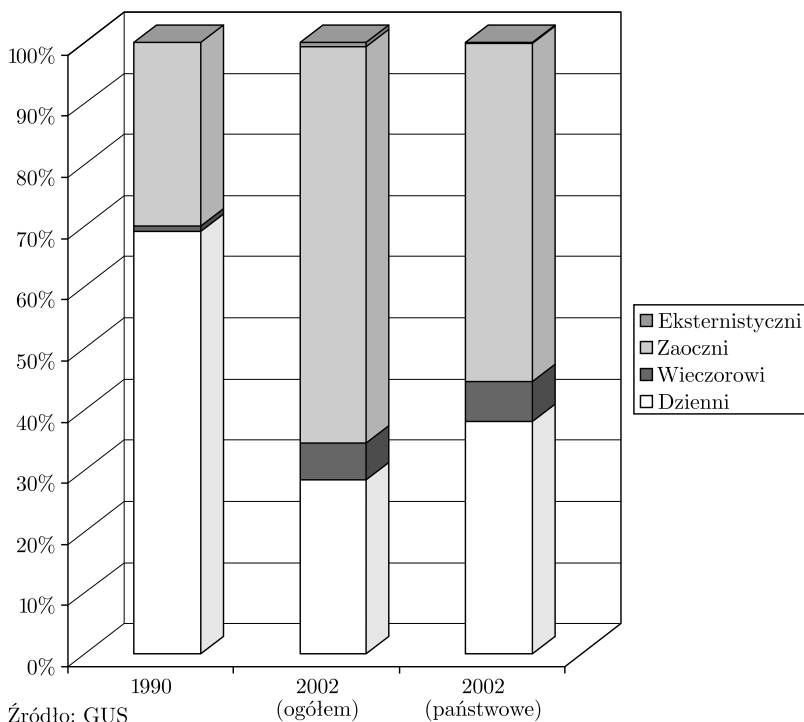
Źródło: GUS

Grupy kierunków

Wykres 1. Udział % wybranych kierunków w liczbie studentów ogółem

- Środowisko uczelniane, będące, jak większość sfery budżetowej, w stanie chronicznego niedofinansowania, zareagowało na ów zwiększony popyt na swoje usługi w sposób jak najbardziej logiczny, tzn. zwiększając sprzedaż usług dydaktycznych we wszelkich możliwych formach dozwolonych w ramach obowiązującego systemu prawnego (który, jak wiadomo, nie dopuszcza pobierania opłat od tzw. studentów dziennych uczelni państwowych, wprowadzenie tego typu opłat naruszyłoby bowiem konstytucyjne prawo do bezpłatnej nauki, także na poziomie wyższym).

Jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać uczelnie prywatne (rzecz jasna, pobierające czesne od swoich słuchaczy), które obecnie kształcą już około 1/3 całej polskiej młodzieży akademickiej, zaś uczelnie państwowe, nie mogąc uzupełnić swoich zasobów finansowych wprowadzeniem opłat za podstawową działalność dydaktyczną, czyli za tzw. studia dzienne, zaczęły pobierać opłaty za tzw. studia wieczorowe i zaoczne, wedle dość prostej i zrozumiałej zasady — im bardziej dany kierunek jest popularny wśród kandydatów na studia, tym więcej miejsc na nim oferuje się w trybie płatnym (czego przykład widać na wykresie 2); ogółem procent studentów dziennych zmniejszył się w przeciągu ubiegłej dekady z ponad 75% do około połowy.



Wykres 2. Biznes i zarządzanie — % udział systemów studiów

Trzeba w tym miejscu zaznaczyć, iż zdarza się, że tzw. studenci dzienni i wieczorowi w praktyce często uczęszczają na te same zajęcia, odbywające się w tych samych godzinach; jednych od drugich różni bowiem nie tyle tryb studiowania, co źródło finansowania ich zajęć.

Janko Muzykant sponsoruje hrabiego Ochockiego, a Einstein dorabia na umowę-zlecenie. Czy można by uznać, że taka sytuacja jest zadowalająca dla wszystkich, skoro zasadniczo „główne”, „podstawowe” studia są bezpłatne, wielu młodych Polaków może zdobyć wykształcenie wyższe za darmo, a akademicy znaleźli sposób na zdobycie środków na utrzymanie? Odpowiedź na to pytanie jest zdecydowanie negatywna i to z kilku powodów.

Po pierwsze, w tak skonstruowanym systemie zaistniało swoiste zjawisko „antyredystrybucji” dochodów. Jak wykazały badania wykonane przez Centrum Badań Polityki Naukowej i Szkolnictwa Wyższego przy Uniwersytecie Warszawskim, na bezpłatne studia, szczególnie te najbardziej prestiżowe i umożliwiające zdobycie w przyszłości dobrze płatnej pracy, dostają się przede wszystkim dzieci z wielkomiejskich, zamożnych rodzin, które ukończyły renomowane licea, młodzież z gorzej sytuowanych środowisk trafia zaś na studia płatne. Innymi słowy, studia osób bogatych finansowane są z podatków ogółu obywateli oraz „dopłat” uboższych studentów.

Po drugie, zarówno na większości uczelni prywatnych, jak i na studiach niestacjonarnych uczelni państwowych poziom studentów jest zdecydowanie niższy (większość studentów trafiających do uczelni prywatnych to osoby, którym nie udało się dostać na bezpłatne studia na uczelniach państwowych); ponieważ jednak uczenie tego właśnie typu „studentów-klientów” jest (w przeciwieństwie do uczenia studentów „bezpłatnych”) najbardziej dochodowe, władze uczelni i wykładowcy najczęściej obniżają poziom wymagań w stosunku do studentów „płatnych”, dopasowując go do poziomu „klientów”, przez co obniża się ranga dyplomu akademickiego. Chociaż więc pozornie liczba absolwentów uczelni wyższych znacząco wzrosła (z około 56 tys. rocznie na początku lat 90 do ponad 340 tys. w ubiegłym roku), to w praktyce znaczenie dyplomu jako takiego zmalało.

Po trzecie, zaistniało zjawisko swoistej, dziwacznej symbiozy pomiędzy uczelniami państwowymi i prywatnymi. Na tych pierwszych naukowcy przeprowadzają przynoszące im wiedzę i prestiż badania naukowe, zdobywają stopnie i tytuły naukowe oraz mają tzw. etaty, które, jakkolwiek niskopłatne, zapewniają im podstawowe bezpieczeństwo socjalne, na tych drugich zaś jedynie spieniężają swój dorobek, przeprowadzając godziwie płatne zajęcia dydaktyczne.

Do plusów tego systemu należy zaliczyć fakt, że możliwość uzyskania korzyści finansowych na uczelniach prywatnych jest czynnikiem powstrzy-

mującym odpływ wartościowej kadry z zawodu; więcej młodzieży uzyskuje też dostęp do wiedzy. Za negatywne należy jednak uznać pozostałe konsekwencje tego rozwiązania. Podejmując pracę na innej uczelni niż macierzysta (a często nawet na kilku, bądź, w skrajnych przypadkach, kilkunastu), wykładowca zaniedbuje zazwyczaj obowiązki w swoim podstawowym miejscu pracy. Z kolei przeciętna uczelnia prywatna nie jest w 100% prawdziwą uczelnią, a co najwyżej firmą szkoleniową, skoro nie posiada prawdziwie własnej kadry, zaangażowanej w tworzenie spójnego, autonomicznego ośrodka badawczo-naukowego, a jedynie dydaktyków odwiedzających ją na limitowaną i skrupulatnie wyliczoną liczbę godzin w tygodniu, którym trudno byłoby zresztą w pełni identyfikować się z pracodawcą zatrudniającym ich na podstawie łatwej do zerwania, a więc niezwiązującej z miejscem pracy, umowy-zlecenia czy umowy o dzieło.

Po czwarte, na uczelniach państwowych wykładowcy podejmują pracę na zasadzie swoistej sprzedaży związanej („za część wykonanej przez siebie pracy, czyli za zajęcia ze studentami dziennymi otrzyma pan płacę poniżej wartości owej pracy, ale zyska pan w ten sposób prawo do uzyskania godziwych zarobków za wykonanie tego samego rodzaju zajęć, czyli przeprowadzenia tych samych wykładów, ale z innymi studentami, tzw. wieczorowymi czy zaocznymi”), co prowadzi do sytuacji, w których wiedzeni naturalną chęcią zysku akademicy mogą starać się ograniczyć ilość czasu poświęcaną na zajęcia nieprzynoszące zysku (np. skracając wykłady, opuszczając tzw. dyżury, zamieniając czasochłonne egzaminy ustne na testy), by móc jak najwięcej godzin przepracować na zajęciach płatnych, co odbije się w sposób niekorzystny na jakości pracy uczelni.

Uczelnie jak Robert Korzeniowski czy kadra piłkarska? Oczywiście, w tym miejscu może pojawić się wiele głosów protestu, przywołujących przypadki zaprzeczające postawionym powyżej twierdzeniom. Każdy zapewne zna znakomitych wykładowców, którzy na uczelniach państwowych z entuzjazmem prowadzą wspaniałe zajęcia z całkowicie nierynkowych dziedzin i poświęcają mnóstwo czasu swoim studentom, nie bacząc na niskie pensje, najbardziej zdolni i wytrwali uczniowie z ubogich rodzin z oddalonych od wielkich miast terenów wiejskich dostają się na najbardziej prestiżowe kierunki w trybie dziennym i kończą je z wyróżnieniem, na uczelniach niepaństwowych spotkać można wybitnych studentów, a na państwowych przez sito egzaminów wstępnych udaje się czasem przedostać obibokom. Trzeba też gwoli sprawiedliwości zaznaczyć, że część podmiotów, działających na polskim rynku uczelnianym, podejmuje działania optymalne w danych warunkach i odnosi godne zanotowania sukcesy.

Dla przykładu, pewna liczba uczelni prywatnych, głównie tzw. szkoły PANowskie, zdołała utworzyć centra nie tylko dydaktyczne, ale i naukowo-

badawcze, dzięki czemu może przyciągać na studia dobrych kandydatów i tworzyć własną kadre. Niektóre uczelnie prywatne zdecydowały się też wypłacać ze środków własnych stypendia dla najlepszych studentów (głównie w postaci zwolnienia z części czesnego).

Wszystko to prawda, jednak opisane wyżej przykłady pozytywne to jedynie wyjątki od reguły. Dojście na ich podstawie do wniosku, że obecny system działa prawidłowo, byłoby równie uzasadnione, co wyciąganie z sukcesów Roberta Korzeniowskiego konkluzji, iż polski sport ma się dobrze. Przy dokonywaniu ekonomicznej oceny efektywności działania jakiegokolwiek dziedziny gospodarczej nie można opierać się na istnieniu wyjątków czy też idealistycznie zakładać, że tkwiące głęboko w człowieku uczucia wyższe, takie jak dobro, pracowitość czy zwyczajna przyzwoitość wystarczą, by w każdych warunkach zmotywować go do podjęcia najbardziej etycznych działań. Zadaniem ekonomisty jest dokonanie oceny prawidłowości konstrukcji systemu, zbadanie, czy działa on na objęte nim podmioty w sposób stymulujący pewne działania, czy też je hamujący. W przypadku polskiego systemu finansowania szkolnictwa wyższego widać wyraźnie, że skonstruowany jest on w sposób nieprawidłowy, w sposób poważny zakłócone są w nim bowiem kierunki przepływów pieniężnych.

Potrzeba remontu generalnego. Jak już wspomniano, realizacja postulowanych dotychczas propozycji zmian, jakie różni przedstawiciele środowiska uczelnianego zgłaszają przy okazji pojawiania się kolejnych ognisk zapalnych, nie rozwiązałyby problemu, żadna z nich bowiem nie dotyka błędnej konstrukcji systemu. Spełnienie np. żądań grupy studentów dziennych SGH, którzy w swoim dobrze pojętym interesie chcą zablokować dostęp do swojej uczelni, swoich sal, swoich wykładowców, a w rezultacie do swoich dyplomów i dobrze płatnych miejsc pracy dodatkowej grupie studentów wieczorowych, stoi w sprzeczności z interesami władz uczelni i wykładowców, którzy w ten sposób pozbawieni zostają części swoich dochodów.

W tym miejscu rodzi się też pytanie: jakie właściwie prawo mają studenci dzienni uczelni państwowej do decydowania o jej losach? Zasadniczo rzecz biorąc, nie są przecież jej klientami, a pewnego rodzaju beneficjentami. Nie zapłacili za pobieraną naukę z własnej kieszeni i gdy żądają od władz uczelni rezygnacji z możliwości uzyskania dodatkowych dochodów, nie mogą nawet – choćby chcieli – zaoferować pokrycia wynikającej ze spełnienia ich postulatów straty poprzez dokonanie wpłaty własnego czesnego. Nie pozwala im na to system.

Podobnie jest w przypadku wszelkiego rodzaju zakazów podejmowania przez wykładowców dodatkowej pracy na innych uczelniach (co ma zapobiegać obniżaniu się jakości pracy ich macierzystej, „etatowej” uczelni), wydawanych przez uczelniane władze, które jako argument chętnie przy-

taczają obowiązujący w wielu firmach prywatnych zakaz pracy dla konkurencji. W przeciwieństwie jednak do właścicieli firm prywatnych rektory szacownych państwowych uczelni nie mają możliwości zapłacenia swoim pracownikom godziwego, odpowiadającego jakości i wkładowi pracy wynagrodzenia — jak więc mogą żądać od nich 100% zaangażowania, skoro za nie po prostu nie płacą?

Postulat, by kierowani chęcią zysku wykładowcy przenieśli się na dobre do uczelni prywatnych, jest też trudny do spełnienia, gdyż finansowanym obecnie jedynie z chesnego studentów dość małym szkołom, jakimi są polskie uczelnie prywatne, trudno byłoby udźwignąć ciężar utrzymania, obciążonych wysokimi kosztami paropodatkowymi, stanowisk pełnoetatowych; gdyby nawet im się to udało, odbyłoby się to kosztem zwiększenia obciążenia finansowego studentów.

Cóż należałoby więc zrobić, by gruntownie zreformować niewydolny system? Propozycji można by przedstawić kilka (choć niestety trzeba od razu zauważyć, że żadna z nich nie jest wolna od wad). Istnieją następujące, możliwe do wprowadzenia systemy finansowania szkolnictwa wyższego.

System „opiekuńczy” — darmowa kromka wiedzy dla każdego. W systemie „opiekuńczym” wszystkie uczelnie są uczelniami publicznymi, finansowanymi z budżetu państwa i pozostającymi pod kontrolą właściwego ministerstwa. Do zalet tego rozwiązania należy przede wszystkim fakt, że w takim systemie wszyscy młodzi ludzie pragnący zdobyć wyższe wykształcenie mogą zrealizować swoje plany bez względu na swój status finansowy. Ważne jest też, że działalność wszystkich uczelni jest ściśle kontrolowana przez odpowiednie instytucje państwowe, co eliminuje niebezpieczeństwo powstawania nieuczciwych pseudouczelni.

Rozwiązanie to ma jednak cztery poważne wady – *po pierwsze*, w ogromnym stopniu obciąża budżet państwa (który w większości krajów boryka się zwykle z problemem deficytu).

Po drugie (co zresztą wiąże się z poprzednim punktem), nie zapewnia zazwyczaj uczelniom dopływu funduszy w wysokości wystarczającej na pokrycie ich potrzeb, co ma negatywny wpływ na jakość pracy uczelni.

Po trzecie, dystrybucja środków finansowych przez instytucje państwowe i publiczne z zasady wiąże się z ich, częściowym przynajmniej, marnotrawieniem.

Po czwarte wreszcie, finansowanie wszystkich placówek z tego samego, publicznego źródła i odgórne nimi kierowanie nie stwarza stymulującego podnoszenie jakości pracy klimatu konkurencyjności, typowego dla systemu rynkowego. Warto w tym miejscu zaznaczyć, że niektóre zamożne państwa europejskie, np. Wielka Brytania, w których system „opiekuńczy” działał przez kilkadziesiąt lat, zdecydowały się na rezygnację z całkowitego finan-

sowania uczelni przez państwo i wprowadziły obowiązek uiszczania przez studentów ryczałtowego czesnego.

System „ryczałtowy” — kromka wiedzy za kilka pensów. System ten jest dość podobny do systemu „opiekuńczego”; jedyną, choć dość znaczącą różnicę stanowi fakt, że większość studentów (z wyjątkiem małej liczby osób pochodzących ze szczególnie ubogich rodzin) pokrywa część kosztów swoich studiów, płacąc ryczałtowe czesne; pozostałą część kosztów pokrywa budżet państwa.

Do plusów takiego rozwiązania zaliczyć można odciążenie budżetu państwa (czyli podatników); do minusów zaś obciążenie studentów częścią opłat, bez jednoczesnego wprowadzenia mechanizmu konkurencji, stymulującego wyższą jakość pracy uczelni.

System „wolnorynkowy” — za centa kromka, za dolara boche- nek. Teoretycznie rzecz biorąc, w modelowym systemie wolnorynkowym wszystkie uczelnie to placówki niepubliczne, w 100% finansowane ze środków prywatnych, głównie czesnego studentów. Do plusów takiego systemu należy zaliczyć nieobciążanie budżetu państwa kosztami funkcjonowania uczelni i wytworzenie mechanizmu konkurencji. Do minusów zaś fakt, że konieczność ponoszenia całkowitych kosztów studiów przez studentów prowadzi do utraty przez społeczeństwo części potencjalnego wysokokwalifikowanego kapitału ludzkiego z powodu niepodjęcia studiów z przyczyn finansowych przez studentów z biedniejszych rodzin.

W praktyce we współczesnych krajach wysoko rozwiniętych nie spotyka się „czystych” systemów wolnorynkowych. w Stanach Zjednoczonych np. istnieje bardzo dobrze funkcjonujący rynek uczelni prywatnych, które słynne są z tego, że mogą z reguły przebierać w kandydatkach — najlepszych absolwentkach szkół średnich, mimo że pobierają wysokie czesne. Dzięki uzyskanym środkom finansowym mogą bowiem zaoferować atrakcyjne pensje wybitnym wykładowcom, co z kolei owocuje wysoką jakością zajęć, a to w końcowym rezultacie przekłada się na możliwość zdobycia bardzo dobrze płatnej pracy przez absolwentów uczelni.

Jednak oprócz owych prywatnych uczelni *Ivy League* w USA działają też uczelnie publiczne (finansowane i nadzorowane przez władze stanowe i lokalne), które nie cieszą się aż takim prestiżem, umożliwiając za to zdobycie wykształcenia młodzieży z uboższych rodzin, pobierają bowiem bardzo umiarkowane czesne. Po ich ukończeniu nie można jednak liczyć na uzyskanie tak dobrze płatnej pracy, jak po uzyskaniu dyplomu Harvardu czy Yale.

Jedyną, za to poważną wadą systemu „wolnorynkowego” jest istnienie bariery finansowej, blokującej dostęp do najlepszych uczelni osobom niezamożnym; w przeciwieństwie jednak do „konstytucyjnie bezpłatnego” obec-

nego systemu polskiego owe osoby niezamożne nie muszą przynajmniej dopłacać do studiów swoich bogatych kolegów.

System „bonów edukacyjnych” — III droga szkolnictwa wyższego. Dokonując krótkiego porównania opisanych powyżej systemów, można stwierdzić, że w każdym z nich istnieje pewnego rodzaju „trade-off” pomiędzy szeroką dostępnością do wykształcenia a wysoką jakością pracy uczelni.

W systemach opartych na finansowaniu uczelni przez budżet państwa szkolnictwo wyższe jest z reguły niedofinansowane, wykładowcy nie mogą liczyć na wysokie płace, a brak zarówno funduszy, jak i istnienia mechanizmu konkurencji międzyuczelnianej nie stymuluje podnoszenia jakości pracy szkół wyższych; większość młodzieży ma jednak zapewniony dostęp do studiów (prezentujących dość wyrównany poziom) bez względu na zamożność swoich rodzin.

W systemie opartym na finansowaniu uczelni ze środków prywatnych jest odwrotnie — uruchomienie systemu konkurencji owocuje wysoką jakością działalności uczelni, wykładowcy zaś mogą liczyć na płace odpowiadające jakości ich pracy; ceną jest niska dostępność do dobrego wykształcenia dla osób mniej zamożnych i w rezultacie utracenie przez społeczeństwo potencjalnego a niewytworzonego kapitału ludzkiego.

Można by zatem rozważyć propozycję systemu „bonów edukacyjnych”. Jest to system czysto teoretyczny, którego koncepcja powstała na bazie krytyki opisanych powyżej systemów. W zamierzeniu ma łączyć w sobie zalety systemów „opiekuńczego” i „wolnorynkowego”, eliminując jednocześnie ich wady.

Jak wygląda zatem ów nowy system? Otóż wszystkie uczelnie są prywatne (bądź, jak by to miało miejsce w przypadku polskich uczelni państwowych, zostają sprywatyzowane i przekazane pod nadzór władz lokalnych) i mogą dowolnie ustalać zarówno czesne studentów, jak i wynagrodzenia pracowników. Nie oznacza to jednak, że wprowadzony zostaje system wolnorynkowy, który brzemień opłacenia studiów składa na barki studenta i jego rodziny.

Owszem, państwo inwestuje duże fundusze w szkolnictwo wyższe, jednak w inny sposób niż w systemie „opiekuńczym”. Fundusze budżetowe przeznaczone na szkolnictwo zostają bowiem podzielone na 3 części, z których pierwsza zostaje przeznaczona na bony edukacyjne, druga na pożyczki studenckie, a trzecia na stypendia. Ani jedna złotówka nie jest przydzielana samym uczelniom jako takim, „na utrzymanie”.

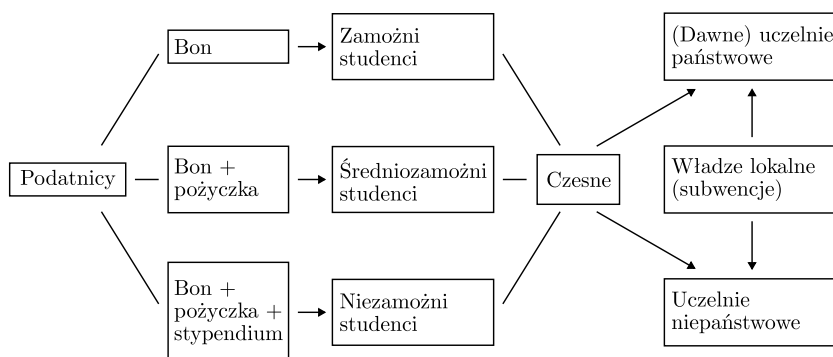
Do otrzymania bonu edukacyjnego uprawniony jest każdy student, który został przyjęty na akredytowaną uczelnię, bez względu na swój status finansowy. Osoby zamożne mają bowiem także prawo do skorzystania w pewnej części z funduszy inwestowanych przez społeczeństwo w tworzenie wykształ-

conego kapitału ludzkiego i nie powinny w 100% same pokrywać kosztów swojej edukacji. Najprawdopodobniej jednak suma, na którą opiewać będzie bon, nie pokryje całości żądanego przez uczelnię czesnego. Kto więc pokryje resztę kosztów?

W przypadku studenta zamożnego będzie to on sam i jego rodzina. Student średniozamożny będzie miał możliwość skorzystania z korzystnie oprocentowanej pożyczki studenckiej, którą będzie mógł spłacać na dogodnych warunkach po ukończeniu edukacji. Student niezamożny zaś będzie mógł otrzymać bezzwrotne stypendium z trzeciej puli funduszy państwowych. Najprawdopodobniej też najlepsi studenci będą mogli liczyć na stypendia wewnątrzuczelniane za wyniki w nauce. Same uczelnie zaś mogą być również wspierane przez władze lokalne na podstawie sformułowanych przez siebie misji, których realizacja miałyby korzystny wpływ na rozwój danego regionu. Oczywiście, wszystkie uczelnie działające w opisanym systemie będą musiały pozostawać pod nadzorem właściwego ministerstwa i (sprawnie działających!) instytucji akredytujących.

Dzięki zastosowaniu tego typu systemu: (a) na skutek uruchomienia mechanizmu konkurencji największe fundusze trafią do najlepszych uczelni (pieniądze będą bowiem „szły za studentem”), które będą wówczas w stanie odpowiednio wynagradzać dobrych wykładowców, przyciągających do uczelni studentów; (b) państwo we właściwy sposób spełni swą funkcję redystrybucyjną, fundusze publiczne trafią bowiem do najbardziej potrzebujących studentów, którzy, dzięki ich uzyskaniu, nie będą musieli rezygnować z podjęcia studiów; (c) społeczeństwo uzyska niezbędne dla rozwoju gospodarczego rezultaty badań naukowych i wysoko wykwalifikowany kapitał ludzki; (d) system przepływu środków finansowych będzie zrozumiały i przejrzysty.

System „bonów edukacyjnych” w Polsce — schemat graficzny



Nie ma róży bez kolców. Trzeba w tym miejscu zaznaczyć, że system ten ma, niestety, jedną poważną wadę — jest systemem teoretycznym, którego

wprowadzenie w życie wiązałyby się ze znacznymi kosztami, nie tylko finansowymi. Można np. przewidzieć, że w czasie wdrażania tak poważnej reformy część uczelni zbankrutowałaby, nie umiając poradzić sobie w nowej rzeczywistości rynkowej. Istnieje też niebezpieczeństwo, typowe dla samej instytucji rynku, polegające na podejmowaniu przez część placówek, motywowanych dość krótkowzroczną chęcią zdobycia zysku za wszelką cenę, działań na granicy prawa bądź granicę tę przekraczających; dowody na prawdziwość tego założenia są widoczne już dziś, kiedy obserwuje się nieetyczne bądź wręcz nielegalne działania części uczelni, zwłaszcza prywatnych, takie jak przyciąganie kandydatów na studia ofertą możliwości zdobycia tytułów, do których nadawania uczelnia nie ma w rzeczywistości uprawnień, czy otwieranie kierunków, do których prowadzenia dana uczelnia nie jest przygotowana kadrowo.

Trzeba mieć ponadto świadomość, że system edukacji wyższej nie funkcjonuje w gospodarczej i społecznej próżni; końcowy sukces wprowadzenia systemu bonów edukacyjnych zależałby w dużej mierze od sprawności funkcjonowania wielu innych trybów maszyny państwa, takich jak np. system sądowniczy (który jest niezbędny do kontroli każdego systemu rynkowego, a który w Polsce działa wyjątkowo opieszale) czy niższe szczeble szkolnictwa („produkujące” kandydatów na studia wyższe), także przeżywających poważne problemy, wynikające głównie z braku funduszy.

Z prowizorką na początku III tysiąclecia? Podsumowując: wybór optymalnego w obecnych warunkach polskich systemu finansowania działalności dydaktycznej szkół wyższych nie jest rzeczą łatwą. Należy też zdawać sobie sprawę, że to zaledwie część reform, jakie powinny zostać przeprowadzone, by uczelnie polskie działały naprawdę sprawnie. Poważnej i dogłębnej analizy ekonomicznej wymaga także system finansowania badań naukowych, a prawdziwym polem do popisu dla specjalistów od zarządzania powinna się stać struktura wewnętrzna uczelni (w tym systemy oceny jakości pracy i wyników zarówno studentów, jak i pracowników). Są to zadania o skali trudności zbliżone do reformy systemu ubezpieczeń społecznych czy służby zdrowia. Wydaje się jednak, że dogłębne zmiany obecnego, nadzwyczaj niewydolnego systemu są koniecznością, coraz bardziej bowiem przypomina on chylący się stary dom, osadzony na zmurszałych fundamentach, który to dom co jakiś czas ktoś próbuje z zewnątrz łątać czy malować. Jak to już nieraz w historii bywało, może się okazać, że najtrwalsze w Polsce są nadzwyczaj kosztowne prowizorki.